

JAN SKŁODOWSKI

U Boruty w Zakopanem

Pobyty pod Giewontem inspirowały nie tylko do wędrówek po Tatrach, ale też do poznania tamtejszych „wielkich” – wybitnych osobistości i osobowości zarazem, osiadłych tam na dłużej. Było to łatwiejsze do urzeczywistnienia wtedy, gdy posiadało się na miejscu bliską, dobrze zakotwiczoną w zakopiańskim świecie osobę, której prośba i rekomendacja otwierały na oścież drzwi domów dostojnych zakopiańczyków przed kandydatem na adepta wszechwiedzy o Zakopanem i Tatrach. Taką osobą była dla mnie Zofia Fedorowiczowa, mieszkanka miasta od schyłku lat 20. XX w. Dzięki niej mogłem wejść w głąb magii miejsca poprzez spotkania, niekiedy w ostatniej chwili, z tymi, którzy ją tworzyli, a niebawem „się minęli”.

Był to rok 1983, a w nim majowy czas, tchnący zaproszeniem ku dolinom i szczytom. Ale też i kolejny rok stanu wojennego, gdy wędrówki po Tatrach były urzędowo utrudniane – niemniej, gdy już udało się dotrzeć do grani, to stawały w oczach plakaty z miasta przypominające, że „zabrania się prowadzenia rozmów przez linię graniczną”. W takiej sytuacji, gdy od chodzenia po górach łatwiejsze było „chodzenie po domach” równie wybitnych co tatrzańskie szczyty, Zofia Fedorowiczowa „zarządziła” kolejne moje zakopiańskie odwiedziny – „Powinieneś poznać generała Borutę-Spiechowicza, osobę niezwykle i cieszącą się w Zakopanem wielkim szacunkiem”. Oczywiście przystałem na taki bieg sprawy, dając znać, że doskonale wiem, że jest on wielkim, wspierającym ruch niepodległościowy i solidarnościowy patriotą i jed-

nocześnie dzięki swej żołnierskiej niezłomności świetlaną postacią i legendą polskiego wojska. Z niepokojem tedy oczekiwałem ziszczenia się takiego spotkania, którego ewentualne zaaprobowanie ze strony generała Boruty-Spiechowicza poczytywałem sobie za wielki zaszczyt.

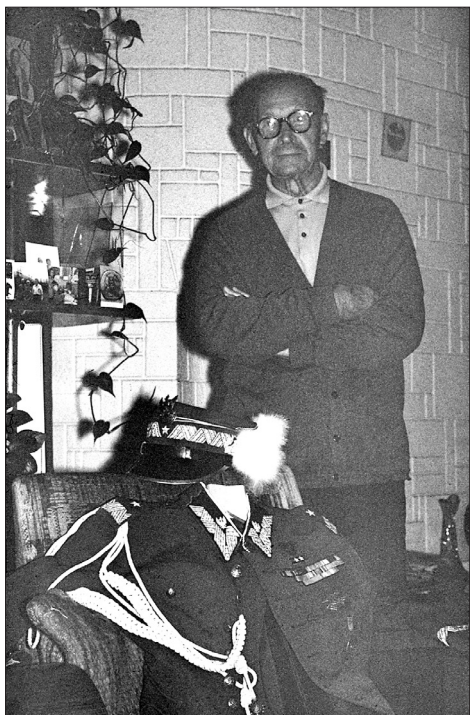
Po krótkiej rozmowie telefonicznej Zofii Fedorowiczowej z generałem zaprosił on nas do złożenia wizyty w jego zakopiańskim domu. Następnego dnia dotarliśmy na kraniec zacisznej uliczki Szymanowskiego, pod numer 16, położonej na Parcelach Urzędniczych. Niewielka piętrowa willa otulona wiosenną zielenią zapraszała swymi niewysokimi schodkami do wejścia. Po naciśnięciu dzwonka w otwartych drzwiach stanął gospodarz – wysoki, szczupły, o wyprostowanej, żołnierskiej, dobrze maskującej sędziwy wiek (89 lat!) postawie. Zaprosił nas do salonu, gdzie potoczyła się nieskrepowana rozmowa – nie o czym innym, jak o sytuacji panującej w kraju i paraliżującym go, wciąż trwającym wtedy stanie wojennym. General był doskonale zorientowany w ogólnie panującej sytuacji politycznej i choć widział jej tragizm, był daleki od katastrofizmu w jej ocenie, a to bez wątpienia dzięki doświadczeniom wyniesionym z różnych zapowiadających się groźnie podczas obu światowych wojen matni, z których udało mu się szczęśliwie wydostać. Postanowiłem tedy zadać generałowi pytanie odnośnie do sprawcy wprowadzonego w Polsce stanu wojennego, dla poznania jego opinii jako tak wysokiej rangi wojskowego, ale też człowieka uczestniczącego w zmaganiach ojczyzny o wolność i niezależność przez długie dziesięciolecia. Pytanie brzmiało: „Jak Pan, Panie Generale, ocenia Wojciecha Jaruzelskiego? Jaki on jest i kim faktycznie w jak najszerzej ujętym polskim kontekście?”. W odpowiedzi usłyszałem, co podaję dosłownie: „Wojciecha Jaruzelskiego znałem i miałem z nim kontakt podczas mojej działalności kombatanckiej. Na podstawie spotkań osobistych oceniam go jako człowieka wykształconego, bardzo dobrze wychowanego, delikatnego w obejściu i wrażliwego, ale w kwestiach politycznych jest on całkowicie narzędziem Moskwy”.

Po chwili gospodarz postanowił podzielić się wspomnieniem trudnych, niosących zagrożenie nawet dla jego życia zdarzeń, których doświadczył już po powrocie z Wielkiej Brytanii do kraju w 1945 r. Mimo że w roku następnym wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego, był w powojennej rzeczywistości, przy swym niezłomnym charakterze i świato-

poglądzie politycznym, personą co najmniej niepożądaną i praktycznie bezustannie także w następnych latach inwigilowaną, wręcz szykanowaną. Mieszkał w Warszawie, gdy podczas wyborów 30 czerwca 1946 r. zażądał udostępnienia oddzielnej kabiny do głosowania; wtedy to popadł w konflikt z obecnym tam gen. Karolem Świerczewskim, wówczas wiceministrem Obrony Narodowej. Niedługo po tym zdarzeniu wybrał się samochodem ze swoim adiutantem na wiślany brzeg, gdzie zwykł był zażywać kąpieli. Przewoźnik zawiózł ich łodzią na zarośniętą łachę, lecz po niedługim czasie zauważył w nadbrzeżnych zaroślach przyczajoną, obserwującą Spiechowicza uzbrojoną postać, która sprawiała wrażenie, jakby przygotowywała się do strzału. Ostrzegł on generała i szybko odpłynęli, żeby zniknąć z pola widzenia podejrzanego obserwatora; dotarli do brzegu i odjechali swym willisem. Niedługo po tym zdarzeniu Spiechowicz został przeniesiony do rezerwy, przeszedł w stan spoczynku i opuścił Warszawę.

Kolejna podobnego typu, choć zaistniała w odmiennych okolicznościach przygoda zdarzyła się w Skolwinie pod Szczecinem, gdzie Boruta (w latach 1946–1964) prowadził swe gospodarstwo rolne. Otóż ciężki, ustawiony na pochyłości terenu wyładowany kapustą duży wóz ze znajdującym się na nim generałem ruszył nagle, nabierając rozpędu, w dół. General wozu nie mógł zatrzymać, gdyż nie działał hamulec, dla uniknięcia więc wypadku zdecydował się zeskoczyć z pojazdu – po oględzinach okazało się, że hamulec został celowo przez kogoś uszkodzony. Była to w ocenie generała kolejna próba zamachu na jego życie.

Następne niebezpieczne zdarzenie miało miejsce w Zakopanem, dokąd Boruta-Spiechowicz przeniósł się ze Skolwina. Otrzymał on zaproszenie od nieznanej osoby chcącej przekazać mu teczkę z jakimś dokumentami. Miejsce spotkania ustalono na ulicy Kościeliskiej naprzeciwko budynku restauracji U Wnuka, po drugiej stronie lekko skracającej tam ulicy, na wąskim chodniku przy potężnym drzewie. Gdy nieznajomy zjawił się w umówionym miejscu, stanął w pewnej odległości od Boruty, jak gdyby dla zachowania swobodnej przestrzeni wokół siebie, co generała zastanowiło. Wtedy nadszedł nagle od strony Skibówek samochód i wjeżdżając na chodnik, próbował najechać na stojącego przy pniu generała, który na szczęście w ostatnim momencie uskoczył, unikając potrącenia. Umocniło się też wtedy jego przeczucie,



Gen. Boruta-Spiechowicz, 1983
(fot. Jan Skłodowski)

że nadal pozostaje pod obserwacją tajnych służb PRL-u, bez wątpienia źle mu życzących jako protestującemu choćby przeciw dewastacji cmentarza Orląt we Lwowie czy sygnatariuszowi KSS KOR i ROPCiO.

I wreszcie, w ostatnich latach życia generała, gdy ten był sam w domu, odwiedził go nieznanemu człowiek przedstawiający się jako kombatant. Zapowiedział swe przyjście telefonicznie, wyrażając prośbę o autograf do książki. Ubrany turystycznie, z chlebakiem przez ramię, poprosił o wpis: „Staremu wiarusowi – Boruta”, a gdy generał nachylił się z długopisem w ręce nad książką, przybyły skierował mu w twarz strumień gazu obezwładniającego. Zaatakowany generał upadł, a powracająca właśnie do domu jego żona spłoszyła napastnika.

Zdarzenie to szczęśliwie nie spowodowało uszczerbku na zdrowiu Boruty-Spiechowicza, niemniej poważnie zakłóciło mir domowy wiekowego już gospodarza i utwierdziło go w przekonaniu o nadal istniejących nieoczekiwanych zagrożeniach ze strony aparatu przemocy.

Nasza wizyta u generała Spiechowicza, planowana jako niezbyt długa, przeciągnęła się, bo też zasluchaliśmy się w żywo prowadzoną i chętnie przez gospodarza wzbogacaną o nowe wątki opowieść. Przygotował się on też na to spotkanie, prezentując swój generalski mundur, i wyraził zgodę na wykonanie przy nim jego zdjęcia, co uczyniłem z ogromnym wzruszeniem. Było to zapewne jedno z ostatnich zdjęć wykonanych Borucie-Spiechowiczowi, były to też moje jedyne u niego odwiedziny. Minęły nieco ponad dwa lata, 13 października 1985 r. dotarła do Warszawy jakże smutna wiadomość o odejściu generała, legionisty II Brygady i uczestnika bez mała całej XX-wiecznej historii Polski, na wieczną żołnierską wartę.